

5 w 2021 (297)

Summer Vistula Expedition 2018

Data publikacji: 05.02.2021 / Autor: Ignacy Chocyk

Poniższe wpisy pochodzą z facebookowego bloga prowadzonego w tamtym czasie przez autora „Kajakiem przez Polskę – Summer Vistula Expedition 2018” (aby zachować ich oryginalną formę, nie ingerowaliśmy zbyt w styl – redakcja).

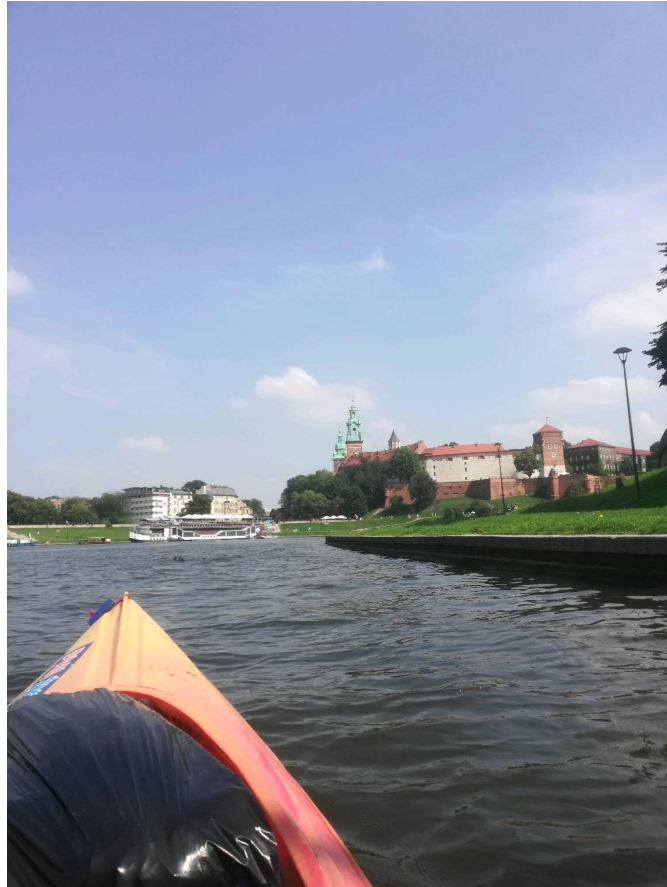
Dzień I

„Dzień zaczął się od drażniącego budzika dzwoniącego co 15 min od godziny 7 rano. Trzy drzemki tym razem wystarczyły, by zwlec się z łóżka. I tylko pomyśleć, że to ostatni tak wygodny nocleg, przynajmniej na jakiś czas. Po śniadaniu, gdy cały proces pakowania został zakończony, wraz z Wujkiem przetransportowaliśmy się do Tyńca, gdzie na podwórku jednego z mieszkańców czekał już kajak. To niesamowite, że nie tylko fabuła Sienkiewiczowskich „Krzyżaków” ma swój początek w Tyńcu, ale i moja wyprawa. Krótka wizyta w kaplicy klasztornej, zwariowany przejazd pod Wisłę i zaczęło się. Wisła zaskoczyła mnie tym razem silnymi falami, które sukcesywnie były rozbijane przez dziób dzielnej „nati” (bo tak producent zażyczył sobie nazwać ten model kajaku). Od razu za pierwszym zakrętem pojawiły się komplikacje, bardziej znane jako ustęp wodny „Kościuszko”, który zmusił mnie do dwudziesto-kilkuminutowego postoju. W trakcie czekania na tak zwane” śluzowanie”, poznałem dwójkę zapalonych wędkarzy, ojca z synem, których rady i miła rozmowa bardzo mi pomogły na dalszej trasie. Kolejny odcinek był dalszą walką z żywiołem, który nieustannie cofał mój kajak. Trzeba wiedzieć, że Wisła na odcinku krakowskim jest regulowanym zbiornikiem wodnym, gdzie nie ma prądu rzecznoego i to wiatr tutaj rozdaje karty. Na horyzoncie rozciągał się widok najpierw klasztoru kamedułów i następnie zamku na Wawelu, który z każdą minutą płynięcia w ogóle się nie przybliżał. Na szczęście u jego podnóża czekała już ekipa „Wsparcie” w postaci Kasi, Basi i Michaliny które wypoczywając akurat w Krakowie zechciały spędzić ze mną chwilę. Zostałem obdarowany wiankiem i wspólnie razem zjedliśmy coś z moich racji. Niestety postój nie mógł trwać wiecznie i nadszedł jego koniec, trza było płynąć dalej. Ruch na Wiśle na tym etapie przypominał trochę ulicę Krakowskie Przedmieście w Lublinie (łódek a łódek) co skutkowało kolejnymi falami do pokonania. Widok architektonicznego Krakowa rekompensował wszystko. Kolejną osobą spotkaną na trasie był Pan przygotowujący się do Runmagedonu, dał mi kilka wskazówek jak stać się biegaczem które mam nadzieję wykorzystać w przyszłości”

Na końcu etapu czekała już śluza „Dąbie”, gdzie przeprawa zabrała mi około 15 min. Swoją drogą fajne doświadczenie przebywać w zamkniętej śluzie, gdzie poziom

wody się obniża, momentami przypominało windę.

Dalsza trasa prowadziła do kolejnej i ostatniej śluzy „Przewóz” gdzie dziś nocuję. Wisła na tym odcinku jak stojące jezioro, przez co nie udało się wyrobić normy, ale od jutra będę gonił. Kraków pożegnany.”



Dzień II

„Dzisiejszy dzień rozpocząłem od pobudki w pół do siódmej. Tyle dobrze, że zamiast budzika usłyszałem głos Pana stróża, którego wieczór wcześniej poprosiłem o obudzenie. Chcąc nie chcąc, trzeba było wstać, aby zdążyć na mszę świętą. Zebrałem się najszybciej jak tylko umiem o takiej godzinie. Dzięki życzliwości innego stróża ustępu wodnego „Przyrów” nie musiałem iść na piechotę 4 km, niestety w drugą stronę ta przyjemność mnie nie ominęła. Zanim można było wsiąść do kajaka i płynąć dalej, wprawdzie trzeba było go przetachać na drugą stronę śluzy. Gdyby nie jeden z Panów Stróżów chyba do teraz bym tam się z nim mocował. Szybkie śniadanie na stojaka i cała naprzód. Początkowo musiałem przeciągnąć kajak jak na smyczy, ponieważ Wisła za śluzą sprawiała wrażenie płytkiego górskiego strumyczka. Poranne płynięcie odbywało się w towarzystwie ptaków, które z rana miały niezłą frekwencję, nie bardzo znam się na nich, ale jakby mnie ktoś zapytał, to strzelam, że najwięcej wśród nich było czapli szarych. Dalej były już

tylko długie kilometry, które ciągnęły się w nieskończoność, aż do momentu, gdy na 119 km zacząłem słyszeć niepokojące szумы. Generalnie, gdy się słyszy szum płynąc rzeką, można być pewnym, że zaraz będzie jakaś przeszkoda do ominięcia. Tak było i tym razem, przed moimi oczami wyrosła całkiem spora kaskada. Główny nurt zdawał się układać w literę S, a mój kajak wraz z jej pokonywaniem nabierał na prędkości tak, że nie wyrobiłem się na końcowym zakręcie i przepłynąłem wprost przez mały wodospad. Na szczęście do środka nie nalała się ani kropla. Dalsze płynięcie było urozmaicane przez przybrzeżnych wędkarzy, z którymi można było zamienić kilka słów. W oddali malowały się pola na górach, a zaraz obok nich piękne domki. Właśnie jeden z takich domków na górze z pięknym widokiem na rzekę chciałoby się kiedyś mieć. Po 18 dobiłem na plażę 2 km przed Koszycami. Dzięki życzliwości miejscowych Państwa mogłem się umyć jak człowiek. Wieczór spędzam w śpiworze. Do jutra! „

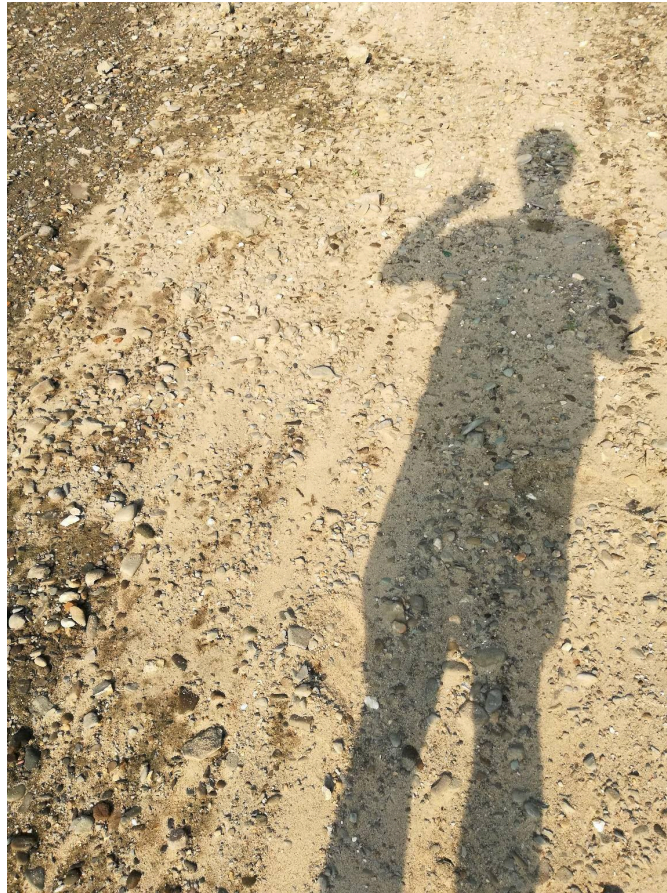


Dzień III

„Dzisiaj pierwszy raz od dwóch dni udało mi się zaskoczyć budzik. Obudziłem się prawie godzinę przed zaplanowaną pobudką i cierpliwie odwlekałem moment wyjścia ze śpiwora. Z początku czekały na mnie rutynowe działania: pakowanie plecaka, namiotu i śniadanie, po czym o godzinie 9 byłem już w kajaku. Mówi się, że trzeciego dnia zazwyczaj przychodzi kryzys i tak było w moim przypadku. Pierwsze 5

km to była prawdziwa męka, moje nogi i ręce były sztywne po poprzednim dniu, a w głowie huczała myśl, że to dopiero początek dnia. Szczęście, że z czasem wszystko ustało, zwłaszcza jak obiecałem sobie, że na postoju w Opatowcu wybiorę się do karczmy na ciepły posiłek. Zostawiłem kajak zaraz obok przystanku dla promu i ruszyłem chodnikiem w górę. Sama miejscowość przypominała bardzo Solec, w którym byłem nieraz z pieszą pielgrzymką. W sklepie zapytałem o drogę do najbliższej „jadłopodajni” (cytując jeden ze skeczy), a dalej znając kierunek przyspieszyłem kroku. Idąc nie mogłem się zdecydować czy wolę pizzę czy jakąś zup.... niem pizza będzie najlepsza! I jak to w takich historiach zazwyczaj bywa, po przebyciu 500 m okazało się że w poniedziałki karczma jest zamknięta i musiałem zadowolić się bułką i jabłkiem ze sklepu. Około godziny 13 zdecydowałem się skończyć mój średnio udany postój i wróciłem pod rzekę.

Gdy płynie się Wisłą przy brzegu co jakiś czas słychać plusk wody, wydawany przez przybrzeżne zwierzęta wyskakujące do niej, ale mi nigdy dotychczas nie udało mi się przyłapać żadnego z nich – aż do dzisiaj, gdy moją uwagę na brzegu przykuł bóbr (przyznam się szczerze że pierwszy raz widziałem to stworzenie na oczy), który widząc mnie momentalnie wskoczył do wody i zaczął płynąć w moją stronę. Nie znałem jego intencji, ale dla pewności przyspieszyłem i bezpiecznie zostawiłem go w tyle. Wisła po połączeniu z Dunajcem nabrała znacznie na szerokości, co poskutkowało większą ilością mielizn, na które wpadłem dzisiaj kilka razy. 53 km na dziś to dobry wynik”.



Dzień IV

„Dzisiejszy poranek nie należał do najprzyjemniejszych w moim życiu. Nad ranem, gdy właśnie zmieniałem bok z jednego na drugi, ziemia pod moją głową się za trzęsła. Najpierw raz, potem zaś drugi i trzeci. Początkowo myślałem że to tylko sen, jednakże szybko okazało się, że owe grzmoty i deszcz to wcale nie wymysł mojej wyobraźni. Cierpliwie w namiocie czekałem aż burza przejdzie, do momentu jednak gdy dach zaczął przeciekać i trzeba było szybko zawiązać interes. Cały swój dobytek i siebie przenieśliśmy pod garaż WOPR-owski z niewielkim daszkiem (ale wytrzymałym niż mój namiot) i nie tracąc czasu wyciągnąłem książkę do matmy, bo poprawka 7 września sama się nie napisze. Pogoda wcale nie ulegała poprawie, wręcz ku mojemu smutkowi odwrotnie, aż tak że musiałem czym prędzej schować moje całki do plecaka bo by mi zamokły. Gdy deszcz trochę osłabł ruch nad rzeką się wzmożył i dzięki temu zamieniłem kilka słów z jednym z wędkarzy, z którym udało nam się później złowić trzy fajne okazy. Około godziny 11 niebo było już na tyle czyste, że nie trzeba było mi dwa razy powtarzać, wypłynąłem na kolejny dzień. Początkowo rzeka sprawiała wrażenie martwej, ale wraz z kolejnymi kilometrami powoli budziła się do życia. Najtrudniejszym fragmentem dzisiaj było zdecydowanie omińnięcie progu wodnego przy elektrowni w Połańcu. Mało co zabrakło, a bym zaliczył go wraz z wywrotką. Jednak dzięki pomocy przewodnika i jednego z

wędkarzy obszedłem go suchą stopą. Gdy płynie się którąś godzinę z rzędu, to nieuniknione, że może czasem przyjść nuda, ważne jest to żeby w miarę możliwości umieć sobie jakoś z nią poradzić. Dzisiejszym moim sposobem była zabawa, w trakcie której starałem się wykonywać slalom pomiędzy mniejszymi przeszkodami na rzece, co powodowało że woda omijająca przeszkodę przyspieszała na chwilę mój pływ. Bardzo przypomina mi to jak w starszych grach komputerowych zbierało się jakieś przyspieszenie, które działało tymczasowo, takie „nitro”.

Około godziny 18 udało się doплыć do celu: Baranów Sandomierski. Dziś nietypowy nocleg, co widać na zdjęciu, ale dzięki miłemu małżeństwu z dziećmi mogłem znowu umyć się dziś w ciepłej wodzie. 50 km zrobionych, także do jutra!”



Dzień V

„Noc na łodzi nie należała do najcieplejszych, ale jak przystało na prawdziwego kajakarza zacisnąłem zęby (i założyłem kolejną warstwę). Obudziłem się tym razem zgodnie z budzikiem, który pozwolił mi jeszcze poczekać w śpiworze do pierwszej drzemki. Słuchając muzyki lecącej z promu, zwinąłem cały grajdoł i zabrałem się za śniadanie. Dzięki życzliwości Pana przewoźnika mogłem z rana napić się ciepłej herbaty, która pobudziła przed splywem ostatnie komórki mięśniowe. Zamieniłem kilka zdań na temat Wisły i wypłynąłem. Dzisiejszy odcinek, choć miał 58 km, to należał do jednego z bardziej malowniczych, że względu na liczne miasteczka przybrzeżne. Pierwszy etap drogi do Sandomierza przebyłem całkiem sprawnie i bez zbędnych narzekań. Jedynie końcówka była cięższa, ponieważ wraz z mijającym czasem Sandomierz w ogóle nie chciał się przybliżyć (widocznie większe miasta tak mają, bo w Krakowie było podobnie) ale otworzyłem paczkę „Marynarzy” (draży) i cierpliwie wiosłowałem dalej. Nastąpił czas postoju, w trakcie którego złożyłem wizytę w pobliskiej restauracji, jedząc jak król dwa dania. W końcu trzeba mieć czym wiosłować. Około 14 wróciłem z powrotem nad wodę i choć przede mną było jeszcze 25 km to ciepły posiłek zadziałał na mnie jak dobry zastrzyk energii. Wiatr również

nie próżnował, tworząc sporego rozmiaru fale. Lubelszczyzna przywitała mnie pięknym widokiem skalnych ścian pokrytych lasami w kolorach jesieni. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. I uwierzcie mi, że o wiele szybciej się macha rękoma, gdy nazwy miejscowości wydają się znajome. Wisła to dość sprytna przeciwniczka i na ostatnim kilometrze zaskoczyła mnie mielizną długą na 150 m na której moja „nati” utknęła na moment. Po dobiecju do Annopola czekał mnie jeszcze transport kajaka do stacji kontroli pojazdów, gdzie musi przeczekać dwa dni. A w mojej głowie już tylko całki podwójne i potrójne albo potrójne i podwójne, mam tylko nadzieję że na egzaminie nic się nie pomyli”.



Dzień VI

„Po dość krótkiej przerwie i dość krótkiej nocy wróciłem na wodę. Razem z Kasią, Asią i Basią wyruszyliśmy przed 8 do Annopola. Podróż minęła bez zbędnych komplikacji, z małym postojem w Tesco – w celu zakupu pontonu dmuchanego do wożenia bagaży. Niestety nie mieli takiego, a na dmuchany basen ani dmuchaną piaskownicę się nie zdecydowaliśmy. Przed 10 udało nam się dotrzeć do miejsca startu. Odebraliśmy kajak ze stacji kontroli pojazdów. Stan pojazdu – w normie, jedynie lekkie zadrapania na dnie. Pierwsza część dnia minęła nad wyraz spokojnie, płynęliśmy całkiem sprawnie (może za sprawą nowości w postaci radia na pokładzie). Pogoda również dopisywała ale jak to w takich historiach zazwyczaj bywa tylko do czasu..... W trakcie postoju w Kamieniu zaniepokoiła nas pojedyncza ciemna chmura, która na szczęście oddalała się od nas całkiem szybko. Oczekaliśmy chwilę, aż była w bezpiecznej odległości i wróciliśmy na wodę. Ach Wisło rywanko moja... jak Ty lubisz wszystko komplikować. Nagle zaczęło się – zaczęło kropić, można by rzec, że z niczego. Deszcz z każdą chwilą nabierał na sile, a my nabraliśmy przekonania że dalsze płynięcie to zły pomysł i popłynęliśmy do brzegu by ukryć się pod powalonym drzewem. Burza przyszła na nas jak „GROM z jasnego nieba” i rozkręcała się bez pardonu. Do ulewnego deszczu dołączyły grzmoty, błyskawice i większa ilość deszczu. Drzewo pod którym byliśmy schowani

nie stanowiło już żadnej ochrony i przyszedł czas na poważne decyzje. Przywiązaliśmy kajak, który łykał każdą nadlatującą kropelkę wody i przemoczeni do ostatniej suchej nitki ruszyliśmy do oddalonego o 4 km Solca. Droga przez krzaki (głównie pokrzywy) zajęła nam aż 40 minut i towarzyszyły jej nasze jęki dotyczące poparzonych nóg (ja mam nawet poparzone poparzenia). Z góry brawa dla Kasi, dla której taka przygoda była czymś nowym i dzięki że nie pozwoliła mi iść bez butów.”

Wraz z końcem deszczu udało nam się dojść do cywilizacji, ale pozostał nam jeszcze nierozwiązany problem kajaku z naszymi rzeczami, w 3/4 pełnego wodą. Nie mając nic do stracenia zaczęliśmy pukać do domów prosząc o pomoc w tej sprawie i jak to mówią do czterech razy sztuka. Napotkaliśmy niesamowitą rodzinę, dla której pomoc osobie w potrzebie to naturalna sprawa. Państwo ubrali nas w ciepłe rzeczy i skontaktowali nas z miejscowymi strażakami. Kolejno Kasia została u Państwa, kiedy ja wraz z Panami Strażakami wyruszyłem na prawdziwą akcję ratunkową. Zwodowaliśmy łódkę w miejscu gdzie niegdyś pływał prom i dzięki niej udało nam się przyciągnąć kajak w bezpieczne miejsce. Kolejno Panowie odwieźli nas w miejsce, gdzie możemy spędzić noc i wysuszyć nasze PRAWIE wszystkie rzeczy. Bilans dzisiejszego dnia tylko z pozoru wygląda negatywnie: tylko 30 km zrobione, przemoczone prawie wszystkie rzeczy. Jednak to nie jest powód do załamania ponieważ dostaliśmy dziś prawdziwą lekcję życia i przygody. Dziękuję wszystkim mieszkańcom Solca za ich nieocenioną i bezinteresowną pomoc, bez której na pewno jeszcze głowilibyśmy się jak ściągnąć kajak albo w co się ubrać, by było choć trochę sucho. Tymczasem grzejemy się ciepłą herbatą, jeszcze czasem pojękując od poparzeń.”

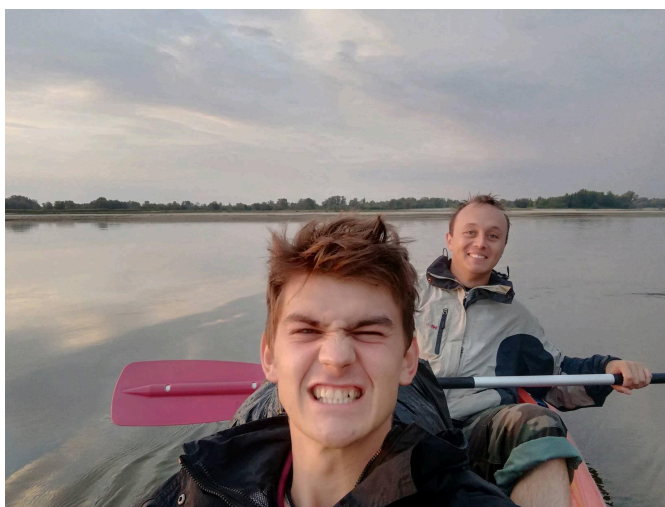


Dzień VII

„Wczorajszy dzień zaczął się niby planowo o 7, jak to każdy, ale wcześniej obudziłem się jeszcze około 4 i później 5, gdy kogut zapał. Noc ewidentnie nie należała do najdłuższych, bo wieczorem nogi tak piekły że nie można było zasnąć

jak człowiek. Zebraliśmy się szybko na mszę o 7:30. Teraz już wiem jakie to uczucie gdy dosłownie wszyscy ludzie dookoła gapią się na Ciebie. A tak było gdy wraz z Kasią weszliśmy do kościoła, w tym ja w jedynych suchych rzeczach jakie miałem, czyli krótkich spodniach takich na plażę, trampkach i polarze wojskowym. Czułem nieustanną presję ze strony wszystkich starszych Pań wokoło. Po powrocie zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy się i mieliśmy zamiar czekać na poprawę pogody, bo ta ewidentnie nie rozpieszczała. Na szczęście po 20 minutach wyszło piękne słońce i spakowaliśmy się do samochodu naszego gospodarza i ruszyliśmy w miejsce gdzie kajak już czekał. Pierwsza część trasy minęła nam znowu bez przygód. Po drodze podziwialiśmy między innymi młyn w Mięćmierzu, zamek w Janowcu i Kazimierz w pełnej okazałości, a to tylko mała część. W ramach odpoczynku odwiedziliśmy przystań „Dwa Żywioły” skąd wypożyczałem kajak i zamówiliśmy pizzę. Ciepłe jedzenie jest tak samo ważne na spływie jak woda. W między czasie przyszedł już siostry Kasi i dojechał mój kolejny gość – Karol. Grono było spore więc było komu opowiadać i co najważniejsze że było co opowiadać, tym razem pałeczka należała do Kasi, która w szczegółach oddała naszą poprzednią przygodę. Z pełnymi brzuchami ja i Karol wyruszyliśmy w dalszą drogę, cud, że ten kajak jeszcze unosił się na wodzie. I choć tempo naszego płynięcia było szybkie, to dogoniła nas jeszcze przyjaciółka burza. Tym razem nie ustraszeni małym jesiennym deszczykiem, pruliśmy dalej. Na miejsce noclegowe (Dęblin) udało nam się dotrzeć około 20, jednakże to nie był koniec dnia na ten czas ponieważ czekała nas jeszcze samochodowa przejażdżka do Solca, gdzie do samego wieczora suszyły się moje rzeczy”.

„Dzięki Kasi za przetarcie szlaku i rozwiązanie worka z przygodami. Karolowi za miłe towarzystwo, pomoc logistyczną oraz szybkie wiosłowanie. 63 km za mną.”



Dzień VIII

„Zamiast dziennika pokładowego 8, pokażę Wam zdjęcie widoku który towarzyszył mi przez większość wczorajszego dnia. Początkowo w oddali na horyzoncie, z czasem rosła w oczach”.



Dzień IX

„Z rana nieoczekiwanie pierwsze dźwięki, jakie do mnie dotarły, nie brzmiały jak mój budzik tylko jak głos Maćka Żurka. Pomimo wczesnej pory, pełen energii odśpiewał: „Wiwat Jezus, wiwat Maria, wiwat Józef...”. Musieliśmy szybko jednak wstrzymać naszą radość ze spotkania na rzecz drzemki, ponieważ było przed 6. Po rutynowej pobudce o 7:50 nastąpił czas na rutynowe działania: składanie namiotu, śniadanie i start na wodzie. Pierwsza część trasy wiodła nas w okolice Józefowa, do tego czasu udało nam się: wymienić ploteczkami (jak to faceci), ugrząść na mieliźnie, odbyć poważne rozmowy o życiu i znowu ugrząść na mieliźnie po raz drugi. Postój dzisiaj nie był za długi, bo wiosłowanie z takim „Bykiem” to czysta przyjemność, zostawiliśmy jednak na nim bagaż..... naszych wspomnień, jak to powiedział Maciej. Druga część trasy wiodła wprost do stolicy. Słońce wyszło zza chmur, jednak udało nam się schłodzić dzięki lodowym karmelkom Secretto. Po drodze jednak mieliśmy do pokonania budowę mostu na Wiśle i mało brakowało, a wpłynęlibyśmy na niej nie w tę odnogę, co trzeba. Na szczęście udało nam się do wiosłować do mostu Siekierkowskiego. Dalszy rejs przez Warszawę do portu urozmaicił nam wyścig na wodzie z adeptami Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego przegrany przez nas (ale mieli lepsze łodzie). Wiatr też płał nam dziś figle, bo mój gość, wychodząc z kajaka na koniec, miał siedzisko pełne wody. Także 60 km za nami, a przede mną noc w ciepłym mieszkaniu. Pozdrowienia ze stolicy!”.



Dzień X

„Wczorajsza noc – nie pamiętam dokładnie kiedy się dla mnie zaczęła, ponieważ zamiast spać postanowiłem się pouczyć i usnąłem na kanapie. Ale po co to wszystko?? Otóż po to, bo ostatnia poprawka egzaminu w zeszły piątek zakończyła się szczęściem w nieszczęściu, dlatego że nie udało mi się jej zdać, ale napisałem ją na tyle dobrze, że zostałem dopuszczony do kolejnej poprawki, która przypadała dzisiaj. Jak to mówią, do czterech razy sztuka. Także zanim mogłem wypłynąć na szerokie wody, czekały mnie jeszcze żmudne obowiązki studenta. O godzinie 8 jeszcze półprzytomny pojechałem dokończyć, co już 4 razy zacząłem. Tuż po egzaminie znalazła się jeszcze krótka chwila by uzupełnić niedobór worków na śmieci i lodowych landrynek. Kolejno wraz z Michałem udaliśmy się do portu Czerniakowskiego, gdzie dzień wcześniej „nati” została na noc. Spakowani wyruszyliśmy na rzekę w stronę Bródna, gdzie miałem podwieźć Michała. Nasze wodne taxi sprytnie omijało wszystkie warszawskie korki, ale i tak szkoda, że musiał wsiąść bo był z niego naprawdę dobry wioślarz. Zaraz za mostem Toruńskim napotkałem skalny labirynt, na którym udało mi się zawiesić dwa razy w poszukiwaniu wyjścia. I tym miłym akcentem pożegnałem Warszawę, choć niedługo wracam tu wraz ze znajomymi na zlot zuchmistrzowski. Dalsza część trasy minęła mi na słuchaniu radia i wyjadaniu racji żywnościowych. Późny start spowodował że nie zapłynąłem za daleko, jedynie 40 km. Noc dzisiaj w Nowym Dworze Mazowieckim i choć mój namiot nie mieści tyle co budowla na zdjęciu, to przynajmniej nie zrzuca nic na głowę. Jest też jeszcze jeden plus dzisiejszego dnia: zdałem egzamin! Do jutra!”



Dzień XI

„Dryng Dryng..... kątem oka udało mi się spojrzeć na zegarek i była 6 rano, chyba przesadziłem z tą pobudką Dryng Dryng.... no dobra koniec drzemki, już 7. Poranek należał do tych z grupy słonecznych, więc wyjście ze śpiwora nie wiązało się z przeżyciem szoku. Kolejno składowanie namiotu i śpiwora, jak zwykle w dobrej kolejności. Około 9 udało mi się wypłynąć na kolejny dzień. Twierdza Modlin w pierwszych promieniach słońca z perspektywy wody prezentowała się całkiem nieźle (największa zachowana twierdza w Polsce, znana też z tego że kręcili tam „C. K. Dezerterów”). Wiosłowałem dzielnie aż do Czerwińska nad Wisłą, gdzie miałem zaplanowany krótki postój. Mieszkańcom chyba bardzo spodobało się mieszkać przy Wiśle, ponieważ przy brzegu można spotkać łódkę na łódce (taka trochę Wenecja). W trakcie postoju udało mi się zahaczyć o sklep i zaspokoić coca-colowy nałóg. W trakcie dalszej trasy miałem niespodziewany nasyp telefonów, przez tą godzinę nie dopłynąłem za daleko, ale było mi bardzo miło móc z kimś pogadać w końcu. Około 18:30 dobiłem do stacji wodniackiej widocznej na zdjęciu. Ręce odpadają, ale udało się dziś przebyć aż 70 km. Dzisiejsze wieczorne mycie ewidentnie nie należało do najłatwiejszych, ponieważ trzeba było pompować wodę energicznie ruszając dźwignią i jednocześnie polewać się nią na co miało się może 3 sekundy, po czym powtórzyć czynność (dobrze że jeszcze nie żonglować w tym samym momencie). Przede mną jutro najtrudniejszy odcinek, czyli fragment Wisły pomiędzy Płockiem a Włocławkiem, który jest zakończony wyczekiwaną (nie widzieć czemu) przez niektórych służą. Trzymajcie kciuki i do jutra!”.



Dzień XII

„Poranek zaliczał się do tych z kategorii chłodniejszych. Kiedy udało mi się wygramolić z namiotu, okazało się, że stacja w której nocowałem wygląda na opustoszałą (jak w tych wszystkich filmach), widać pogoda skutecznie odstraszyła wszystkich wędkarzy. Nie miałem czasu zastanowić się na tym dłużej, bo w Płocku na plaży już czekała na mnie Asia, która zgodziła się ze mną popłynąć tego dnia. Dowiosłowałem do niej ze spóźnieniem, ale jak to na Wiśle, za każdym razem można usprawiedliwić się warunkami pogodowymi. Tym razem trafiła mi się prawdziwa Wioślarka z krwi i kości, wytrenowana na agrometrze i gdyby nie ona, to ten dzień na pewno skończyłby się porażką. Wisła na odcinku od Płocka do Włocławka rozszerza się dwukrotnie i tworzy tak zwane jezioro Włocławskie – istny raj dla żeglarzy, a piekło dla kajakarzy. Niestety tutaj podobnie jak w Krakowie, prąd wodny jest zerowy i wiatr jest rozgrywającym (dla nas przy końcówce okazał się rozgrywającym drużyny przeciwnej). Przez większość czasu nad nami świeciło słońce i powoli poruszaliśmy się w przód. To niby tylko 42 km, a dla nas okazał się etap na cały dzień. Gdy na naszym horyzoncie widać było tylko linię złożoną z wody bez widocznego za nią nabrzeża, przez chwilę zaczęliśmy zastanawiać się, czy to kraniec świata i czy Ziemia jednak przypadkiem nie jest wcale płaska. Na szczęście z czasem na tym właśnie horyzoncie wyłoniła się dla nas tama, nasz upragniony cel. Historia ta nie mogłaby się zakończyć bez dramatycznej końcówki. Nad nami rozciągnęły się chmury i zaczął wiać wiatr. Dystans niby nie był daleki, ale fale wcale nie pomagały, wręcz co większą to wkradała się do środka kajaku tak że w przerwach od wiosłowania wylewaliśmy wodę. Przez chwilę padł nawet pomysł, by przejść lądem i przeciągnąć kajak po wodzie przy brzegu ale po pierwsze próbie skończył się fiaskiem. Mokrzy i zmarznięci dotarliśmy do śluzy (największej w Polsce).”

„Przebycie ustępu zajęło nam 25 minut, bo poziom wody musiał się obniżyć aż o 15m. Niedaleko zrobiliśmy obóz i padliśmy ze zmęczenia. Nie ma nic lepszego niż

suche ubrania, uwierzcie! Wieczorem pizza rozgrzała nasze żołądki, a Asia prawie spóźniła się na busa powrotnego.”



Dzień XIII

„Przedwczorajsza noc nie była dla mnie zbyt łaskawa, choćby z faktu że było bardzo zimno i co jakiś czas ktoś kręcił się wokół namiotu, co obudziło mnie kilka razy. Pogoda następnego dnia nie dawała szans na pomyślny dzień, ale z minuty na minutę wiatr przewiał ciemne chmury z ponad głowy. Z rana czekał na mnie jeszcze bieg do sklepu, ponieważ wieczór wcześniej zapomniałem odebrać telefon z ładowania. Pierwszym większym punktem na mojej drodze był Włocławek, a bardziej centrum, obok którego przepływałem. Zamieniłem kilka słów z miejscowymi wędkarzami pytając ich: „Do Bałtyku to w tę stronę??”. Trzeba dodać na wstępie że dzień nie należał do najprzyjemniejszych (już trochę zaczynam się do tego przyzwyczajać). Silny wiatr konstruował fale, jakich na rzece jeszcze nie było dane mi przeżyć. Pierwsze które kształtami przypominały płetwy rekinów uderzały o dziób „nati” i sygnalizowały, że zaraz przyjdą o wiele większe i straszniejsze. Miałem wrażenie i prawie pewność momentami, że mimo wiosłowania kajak woli poruszać się w tył niż w przód. Po przerwie w Nieszawie, gdzie zdołałem podsuszyć moje mokre rzeczy, przyszło dopiero apogeum. Na tym odcinku miałem już dość wody, która nie dość, że była wszędzie dookoła, to zaczynała być i w kajaku. Wędkarze z

brzegu patrzyli na mnie jak na idiotę, a ja czułem się jakby było „10 w skali Buforta”, bez żadnych chęci do dalszego płynięcia. Ładne słowa na określenie stanu się właśnie kończyły, kiedy otuchy dodał mi widok mostu poprzedzającego Toruń i tym razem została tylko obawa, gdzie spędzę noc ponieważ wpływałem do miasta, gdzie raczej nie ma miejsca na samowolne biwaki, a tymczasem słońce potrzebowało jeszcze około 20 minut do zachodu. Pan Bóg na szczęście czuwa i wynagradza trudy płynięcia. W desperackim poszukiwaniu znalazłem przystań, w której nie dość że mogłem zostać na noc, zostawić bezpiecznie kajak, to jeszcze umyć się i wieczorem zwiedzić Stare Miasto”.

„Po powrocie czekała mnie jeszcze burza mózgów z „Meblarzem” i Karoliną na videoczacie dotyczącą przyszłego zlotu. Kiedy jednak udało nam się już przebrnąć przez falę żartów i śmieszków oraz rozpocząć temat główny, zmęczenie wzięło górę. Jak zwykle w najlepszym momencie, także chcąc nie chcąc czas na odpoczynek.”



Dzień XIV

„Po wczorajszych traumatycznych przeżyciach, dzisiaj wreszcie mogłem trochę odpocząć. Z racji że dzisiejszy zaplanowany dystans miał tylko 30 km, wstałem około 8 (nie licząc tej nocnej pobudki na nakładanie kolejnej warstwy ubrań). Idąc na mszę, specjalnie wybrałem kościół leżący na drugim krańcu starego miasta, by móc raz jeszcze przespacerować się pięknymi toruńskimi uliczkami, zaś w drodze powrotnej zaszedłem na małego i oczywiście „tylko jednego XD” pierniczka. Po zebraniu gratów, około 12, udało się w końcu wypłynąć. Co za dużo wolnego to niezdrowo. Trasa nie była długa, więc bezproblemowo udało się ją pokonać. Ciekawiej zaczęło się dziać już w samej Bydgoszczy... otóż, gdy dopłynąłem Brdą do zalewu, gdzie swój nocleg ma dzisiaj „nati”, z daleka przywitał mnie ojciec Piotr, dawny przewodnik grupy pielgrzymkowej nr. 9 w Lublinie. Wyciągnięcie kajaka z wody nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać, ponieważ wpierw trzeba było przeprowić się przez nabrzeże pełne glonów (jeszcze do teraz mam zielone międy

palcami, bo nie dało się tego doszorować). Następnie musieliśmy zwodować go po drugiej stronie śluzy, w trakcie czego Ojciec pośliznął się i hyc... zaliczył kąpiel w wodzie. Tego nie planowaliśmy, ale całe szczęście to tylko woda i akurat była czysta. Gdy uporaliśmy się w końcu z kajakiem i bezpiecznie spoczął na swoim miejscu, zadzwoniła Basia że już dojechała (kolejna odważna, która zdecydowała się towarzyszyć mi na finiszu). Wsiadliśmy w samochód i za 15 minut byliśmy na dworcu. Wieczorem po dotarciu do miejsca noclegowego, udało nam się jeszcze zobaczyć uroki Bydgoszczy, a ojciec okazał się urodzonym przewodnikiem („Tego się nie zapomina”). Jutro zaczynamy trzy ostatnie dni i została ostatnia prosta! Trzymajcie kciuki!”



Dzień XV

„Ach noc dawno nie był taka przyjemna jak wczoraj. Miękkie łóżko i ciepło w pokoju wystarczyły, żeby z rana nie chcieć wstać z łóżka. Budzik, a bardziej jego druga drzemka szybko jednak doprowadziła mnie do pionu. Z rana zjedliśmy śniadanie, po czym Ojciec Piotr odwiózł nas w okolice zalewu bydgoskiego, gdzie dzień wcześniej zostawiliśmy kajak. Nie lubię pożegnań, ale nawet pracy Ojca i nasza dalsza droga tego wymagały. „Prześluzowaliśmy” się przez ustęp wodny na Brdzie i zapakowani jak Rumunii, wpadliśmy z powrotem do Wisły. Pogoda była dziś wymarzona, ale nie wiedzieć czemu upatryliśmy sobie dzisiaj płynięcie slalomem. Nadłożyliśmy pewnie trochę drogi ale po 60 km udało nam się dotrzeć do Grudziądza. Ciekawszym momentem dzisiejszego dnia była chwila, gdy na brzegu zobaczyliśmy dziwne wielkie stworzenie wyglądu i rozmiaru niedźwiedzia, pijące wodę z rzeki. Ściszyliśmy radio i już mieliśmy przyspieszać, gdy po dokładnych oględzinach okazało się, że to tylko krowa a od nadmiaru wody dookoła zaczynamy sobie wyobrażać za dużo. Wieczór spędziliśmy na kibicowaniu naszym w starciu z Iranem. To była trzecia wygrana biało czerwonych na MŚ. Jutro przedostatni dzień płynięcia do usłyszenia!”



Dzień XVI

„Wczoraj z rana, budzikowi udało nas się obudzić dopiero po trzeciej drzemce, także plany o wcześniejszym wypłynięciu przepadły na wstępie. Korzystając z tego dodatkowego czasu wyruszyliśmy do sklepu uzupełnić nasze zapasy, przy okazji zwiedziliśmy kawałek centrum Grudziądza, a dokładnie ulicę 3 Maja. Po wypłynięciu czuć było w ramionach, że ten dzień będzie cięższy niż poprzedni. Muszę powiedzieć że widok ceglanych spichlerzy w Grudziądzu robi wrażenie. Z rana graliśmy w jakąś to melodię na pokładzie naszego kajaka i słuchaliśmy radia do czasu aż przez przypadek udało mi się urwać antenę. Od tego momentu sami musieliśmy robić za radio. Tego dnia mijaliśmy również Gniew, w którym okazał się zamek krzyżacki. Na końcówce dnia brawa dla Basi która dzielnie wiosłowała, kiedy ja załatwiałem „biznesy”. Nasz dzień skończyliśmy w Białej Górze, gdzie dzięki naszemu gospodarzom umyliśmy się w ciepłej wodzie i obejrzelśmy mecz na dużym ekranie. Kolejne zwycięstwo Polaków. Tymczasem dzisiaj już wielki szturm na Zatokę Gdańską. Trzymajcie kciuki!”



Dzień XVII i ostatni...

„Nie wiem jak to się dzieje, że zawsze ilekroć mówiłem sobie, że wyłynę godzinę wcześniej to nigdy się to specjalnie nie udawało. Tak było prawie i tym razem (choć 30 minut wcześniej niż zwykle to już jakiś sukces). Moja luźna teoria brzmi że mam zbyt wygodną karimatę. Po zjedzeniu śniadania udało nam się zapakować do kajaku i prześluzować z powrotem do Wisły. Wszystko tego dnia wskazywało nam, że to będzie ostatni dzień naszej wyprawy. Nasze wiosłowanie było bardziej ociężałe niż zwykle, ale tego dnia akurat mogło. Każdy kilometr coraz bardziej zbliżał nas do upragnionego celu. Około 12 minęliśmy Tczew, ostatni większy przylądek przed morzem Bałtyckim. Kolejno dotarliśmy do mostu na trasie E77 i dopiero teraz zaczęła się zabawa. Silny wiatr z północy, o którym wcześniej tyle legend słyszeliśmy, w końcu nas dopadł. Napotkane dotychczas fale określiłbym, że to był Pikuś! Niby zostało 10 km, ale przebycie tego odcinka zajęło nam niespełna 3h. To był nieco gorzki przedsmak morza, bo bujało non stop. W miejscowości Świbno zatrzymaliśmy się na chwilę by załatwić, nocleg dla „nati” na najbliższe kilka dni. Miejscowy ratownik z SARu, u którego zostawiliśmy kajak przestrzegł nas tylko, żebyśmy uważali żeby nie musiał po nas wyływać. Teraz już wielkość fal nie miała dla nas żadnego znaczenia, zostały nam 3 km i widok rozciągającego się Bałtyku na horyzoncie. Zmęczenia też już nie było, a przynajmniej nie było już czuć. Dopłynęliśmy do betonowego brzegu i zaczęliśmy cieszyć się naszym dokonaniem, niestety nie długo bo musieliśmy wracać przed zachodem słońca. Na miejscu umyliśmy się w ciepłej wodzie i przepakowaliśmy. Dzięki super Andrzejowi udało nam się dostać do Gdańska na dworzec, za co serdecznie jeszcze raz dziękuję. Tuż przed podróżą zahaczyliśmy o KFC, gdzie miły Pan sprzedawca z zielonymi włosami podarował nam darmowy kubek z dolewką. Wsiadliśmy do busa i rozpracowaliśmy nasz ciepły posiłek robiąc wszystkim dookoła smaka.”

„Teraz już czekała nas 8-godzinna podróż. Sweet home. W Lublinie wylądowaliśmy o 6 kończąc naszą SUMMER VISTULA EXPEDITION 2018”



[Ignacy Chocyk](#)

Dawniej wódz kosmicznej gromady w rodzinnym, małym jak palec Jastkowie, a obecnie członek referatu próbujący rozszyfrować co tu począć z przybocznymi. Na co dzień kibic siatkarski oraz student optyki stosowanej.